

The cover features a stylized illustration of a woman's profile in white against a black background. Her hair is dark and wavy. A large, red dragon with intricate scales and whiskers is coiled around her head, its head facing left. The dragon's body is a vibrant red with some darker, swirling patterns. The overall aesthetic is reminiscent of traditional East Asian art.

**ISABEL
ALLENDE**
Córka fortuny

MARGINESY

Le Hija de la fortuna

COPYRIGHT © Isabel Allende, 1999

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Marta Jordan

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2021

I

1843-1848

VALPARAÍSO

Każdy rodzi się z jakimś szczególnym talentem, a Eliza Sommers bardzo wczesnie odkryła, że jej przypadły w udziale aż dwa, a mianowicie dobry węch i świetna pamięć. Dzięki pierwszemu potrafiła zarobić na życie, dzięki drugiemu – umiała je zapamiętać, nawet jeśli w sposób nie dość precyzyjny, to przynajmniej poetycko nieuchwytny, niczym astrolog. Jeśli coś odchodzi w niepamięć, to jakby nigdy się nie wydarzyło; ona natomiast wspomnień, realnych czy też zmyślonych, miała całe mnóstwo, więc zdawać się mogło, że żyła dwa razy. Wierny przyjaciel Elizy, mądry Tao Chi'en, nieraz słyszał od niej, że jej pamięć przypomina brzuch statku, na którym się poznali; jest pojemna i mroczna, pełna skrzyń, beczek i worków, kryjących w sobie wydarzenia całego jej życia. Na jawie niełatwo było Elizie odnaleźć coś w tym przeogromnym bałaganie, ale zawsze mogła to zrobić we śnie, tak jak ją uczyła Mama Frezja w owe słodkie noce dzieciństwa, kiedy kontury rzeczywistości przypominały delikatny rysunek wykonany wyblakłym tuszem. Wkraczała do krainy snów wielokrotnie wydeptaną ścieżką i powracała bardzo ostrożnie, aby subtelne wizje nie roztrzaskały się w ostrym świetle świadomości. Uciekała się do tego sposobu z taką samą ufnością, jaką inni żywią wobec liczb, i tak rozwinęła sztukę przywoływania wspomnień, że potrafiła zobaczyć Miss Rose pochyloną nad skrzynką po marsylskim mydle, jej pierwszą kołyską.

– Nie możesz tego pamiętać, Elizo, to wykluczone. Noworodki są jak koty, nie mają uczuć ani pamięci – utrzymywała Miss Rose przy nielicznych okazjach, kiedy rozmawiały na ten temat.

Niemniej ta patrząca na nią z góry kobieta w sukni barwy topazu, uczesana w kok, ze zwisającymi luźno lokami i wstążkami targanymi przez wiatr, była wryta w pamięci Elizy, która nigdy nie potrafiła przyjąć do wiadomości tej drugiej wersji swego pochodzenia.

– Masz w sobie angielską krew, tak jak my – zapewniła ją Miss Rose, kiedy Eliza osiągnęła już wiek, w którym mogła to pojąć. – Tylko komuś z angielskiej kolonii mogło przyjść do głowy, żeby położyć cię w koszyku na progu biura Brytyjskiej Kompanii Importowo-Eksportowej. Ten ktoś z pewnością znał dobre serce mojego brata Jeremy'ego i domyślił się, że cię przygarnie. W tamtych czasach szaleńczo pragnęłam mieć dziecko i dlatego Pan zesłał cię w moje ramiona, abym mogła cię wychować w duchu solidnych zasad religii protestanckiej i w angielskiej kulturze.

– Ty miałabyś być Angielką? Dziecino, nie rób sobie złudzeń, masz włosy Indianki jak ja – obstawała przy swoim Mama Frezja za plecami swej pani.

Narodziny Elizy stanowiły w tym domu temat tabu i dziewczynka przywykła do otaczającej je tajemnicy. Ani tej, ani innych delikatnych kwestii nie poruszała w obecności Miss Rose i Jeremy'ego Sommersa, jednakże omawiała je szeptem w kuchni z Mamą Frezją, która niezmiennie opisywała jej skrzynkę po mydle z Marsylii, podczas gdy wersja Miss Rose, z biegiem lat stale upiększana, w końcu zaczęła brzmieć jak bajka. Według niej koszyk znaleziony w biurze wykonano z najdelikatniejszej wikliny i wyścielono batystem, jej koszulkę wyhaftowano ścięciem zwanym „plaster miodu”, pościel zaś obszyto brukselskimi koronkami, nie mówiąc już o tym, że dodatkowo ją samą otulono w kołderkę z futra z norek, co zakrawało na ekstrawagancję, jakiej nigdy w Chile nie widziano. Z biegiem czasu doszło do tego jeszcze sześć złotych monet zawiniętych

w jedwabną chusteczkę i notatka w języku angielskim, wyjaśniająca, że dziewczynka, chociaż z nieprawego łoża, wywodzi się z bardzo dobrej rodziny. Tych ostatnich rzeczy jednak Elizie nigdy nie udało się obejrzeć. Norki, monety i notatka zniknęły, jakby komuś wręcz na tym zależało, i po jej narodzinach nie pozostał po nich żaden ślad. Niemniej wyjaśnienia Mamy Frezji były bardziej zbliżone do jej wspomnień: w pewien poranek u schyłku lata pod drzwiami domu znaleziono podrzucone w skrzynce nagie dziecko płci żeńskiej.

– Ale żadnej kołderki z nerek ani złotych monet, co to, to nie. Byłam przy tym i pamiętam dobrze. Zawinięta w męską kamizelkę trzęśłaś się jak galareta; nawet pieluszki ci nie dali, a cała się obesrałaś. Zasmarkana, czerwona jak odgrzewana langusta, z żółtym wiechciem na czubku głowy – oto jak wyglądałaś. Nie myśl sobie, nie urodziłaś się na księżniczkę i gdybyś wtedy miała takie czarne włosy jak teraz, skrzynka z pewnością wylądowałaby na śmietniku – upierała się kobieta.

Wszyscy zgadzali się przynajmniej co do jednego, a mianowicie, że dziewczynka wkroczyła w ich życie 15 marca 1832 roku, w półtora roku od przybycia Sommersów do Chile, i dlatego też przyjęto tę datę jako dzień jej urodzin. Wszystko poza tym było nagromadzeniem sprzeczności i Eliza doszła w końcu do wniosku, że nie warto tracić energii na powracanie do tego tematu, gdyż bez względu na to, co okazałoby się prawdą, i tak nie można nic już na to poradzić. Ważne jest to, co człowiek robi na tym świecie, a nie to, jak na niego przychodzi, zwykła mawiać do Tao Chi'ena podczas długich lat ich przyjaźni, jednak on był innego zdania; nie potrafił wyobrazić sobie swojej własnej egzystencji w oderwaniu od długiego łańcucha przodków, którzy nie tylko przekazali mu swe cechy fizyczne i umysłowe, ale i karmę. Jego los – tak uważał – został wyznaczony przez postępowanie krewnych, którzy żyli przed nim, dlatego w codziennych modlitwach należało oddawać im cześć i drzeć przed nimi ze

strachu, kiedy zjawiali się w postaci widm, spowici w odświętne szaty, żeby dochodzić swoich praw. Tao Chi'en potrafił wyrecytować imiona wszystkich swoich przodków, nawet najdawniejszych i najczcigodniejszych prapradziadków, zmarłych przed ponad wiekiem. W czasach gorączki złota jego największym pragnieniem było powrócić do swej wioski w Chinach i tam umrzeć, aby zostać pochowanym pomiędzy swymi, w przeciwnym bowiem razie jego dusza na zawsze miała się błąkać po obcej ziemi. Eliza naturalnie skłaniała się ku historii uroczego koszyczka – nikt będący przy zdrowych zmysłach nie lubi pojawiać się na tym świecie w skrzynce po szarym mydle – ale chcąc pozostać w zgodzie z prawdą, nie mogła jej zaakceptować. Jej węch myśliwskiego psa doskonale pamiętał pierwszy zapach jej istnienia, i nie unosił się on bynajmniej nad czystej batystowej pościeli; zalaływało weń, męskim potem i tytoniem. Do niego dochodził jeszcze cuchnący prostacki kozi fetor.

Eliza dorastała, patrząc na Pacyfik z balkonu rezydencji swoich przybranych rodziców. Dom, wystający ponad zbocza wzgórz otaczających port Valparaíso, usiłował naśladować styl modny wówczas w Londynie, jednakże wymogi terenu, klimatu i chilijskiego trybu życia sprawiły, że należało przeprowadzić w nim pewne remonty, których wynik okazał się dość cudaczny. W głębi patio, niczym nowotwory w żywym organizmie, zaczęły wyrastać przybudówki pozbawione okien, a za to wyposażone w drzwi przypominające wejście do jakichś kazamat, za którymi Jeremy Sommers przechowywał najcenniejsze ładunki Kompanii, jakie w składach portowych zaginęłyby bez wieści.

– To kraj złodziei, nigdzie na świecie biuro nie wydaje tyle na zabezpieczenie towaru co tutaj. Wszystko rozkradną, a czego nie wyniosą, albo zimą zaleje powódź, albo latem spali słońce, albo zmiążdży trzęsienie ziemi – powtarzał za każdym razem, ilekroć muły przywoziły nowe pakunki, które wyładowywano na patio jego domu.

Od tego wysiadania w oknie, kiedy to wpatrywała się w morze i liczyła statki i wieloryby na horyzoncie, Eliza nabrała przekonania, że jest córką rozbitka, a nie jakiejś wynaturzonej matki zdolnej do porzucenia jej, goluteńskiej, skazanej na niepewny los w marcowy dzień. W swoim dzienniku napisała, że jakiś rybak znalazł ją na plaży pośród resztek roztrzaskanego statku, owinął w kamizelkę i podrzucił przed największym domem w dzielnicy Anglików. Z biegiem lat doszła do wniosku, że jej historyjka nie jest taka zła: w tym, co wyrzuciła morze, kryją się pewna poezja i tajemnica. Gdyby ocean się cofnął, odsłonięty piasek byłby rozległą wilgotną pustynią, pełną syren i dogorywających ryb, mawiał John Sommers, brat Jeremy'ego i Rose, który przepłynął wszystkie morza świata i ze swadą opisywał wodę cofającą się pośród cmentarnej ciszy, aby następnie powrócić jedną jedyną – za to przeogromną – falą porywającą ze sobą wszystko, co napotka po drodze. Jest to okropne, twierdził, ale przynajmniej daje czas, żeby uciec na wzgórze, natomiast podczas trzęsienia ziemi dzwony kościelne biją na alarm, zapowiadając katastrofę, dopiero kiedy wszyscy jak jeden mąż już dawno zaczęli uciekać w popłochu przez rumowiska.

W czasach gdy pojawiła się dziewczynka, Jeremy Sommers liczył sobie lat trzydzieści trzy i w Brytyjskiej Kompanii Importowo-Eksportowej zaczynała się przed nim rysować świetlana przyszłość. W kręgach kupców i bankierów cieszył się sławą człowieka honoru: jego słowo i uścisk ręki starczały za podpisany kontrakt; była to zaleta niezbędna przy wszelkiego typu transakcjach, jako że listy kredytowe na przepłynięcie oceanów potrzebowały wielu miesięcy. Dla niego, pozbawionego fortuny, dobre imię znaczyło więcej niż samo życie. Z wielkim poświęceniem udało mu się w tym odległym porcie Valparaíso osiągnąć pewną pozycję i ostatnią rzecz, jakiej by sobie życzył w swoim zorganizowanym bytowaniu, stanowił noworodek, który pojawił się, żeby zaburzyć jego rutynę, jednakże kiedy Eliza znalazła się w ich domu, nie mógł jej nie przyjąć, gdyż widok

siostry Rose, tulącej do siebie małą niczym najczulsza matka, osłabił jego wolę.

Rose miała wówczas zaledwie dwadzieścia lat, ale była już kobietą z przeszłością i jej szanse na dobre małżeństwo określano jako minimalne. Ona sama jednak, rozważywszy wszystkie za i przeciw, uznała, że małżeństwo, nawet najlepsze, oznaczało dla niej kiepski interes: u boku swego brata Jeremy'ego cieszyła się swobodą, jakiej nigdy nie zaznałaby przy mężu. Udało się jej poukładać sobie życie i nie obawiała się stygmatu starej panny; wręcz przeciwnie – nie ulegając modnej naonczas teorii głoszącej, że kobietom, które nie przystają do swych tradycyjnych ról matek i żon, natychmiast wyrastają wąsy niczym sufrażystkom, postanowiła, że mężatki będą jej zazdrościć, jednak odczuwała brak dzieci i było to jedyne zmartwienie, którego nie potrafiła przekuć w triumf, nawet za pomocą pełnych dyscypliny ćwiczeń wyobraźni. Czasami śniło się jej, że ściany pokoju pokryte są krwią, że dywan jest nią nasiąknięty, sufit zbryzgany, a pośrodku ona, naga i potargana niczym lunatyczka, wydaje na świat salamandrę. Zrywała się wtedy z krzykiem i przez resztę dnia krążyła wytrącona z równowagi, nie mogąc uwolnić się od tego koszmaru. Jeremy obserwował siostrę, martwiąc się o stan jej nerwów i wyrzucając sobie, że zawlókł ją tak daleko od Anglii, chociaż nie mógł sobie odmówić pewnej egoistycznej satysfakcji płynącej z ich układu. Jako że idea małżeństwa nigdy nie zagościła w jego sercu, obecność Rose rozwiązywała problemy domowe i towarzyskie, dwa aspekty ważne dla jego kariery. Siostra kompensowała jego naturę introwertyka i samotnika, dlatego pogodnie znosił jej zmiany nastroju i niepotrzebne wydatki. Kiedy pojawiła się Eliza, a Rose uparła się, że ją zatrzyma, Jeremy nie ośmielił się zaproponować czy wyrazić najmniejszej choćby wątpliwości i elegancko przegrał wszystkie potyczki o to, aby dziecko było traktowane z dystansem, poczynając od tej pierwszej, kiedy przyszło do nadania mu imienia.

– Będzie miała na imię Eliza, jak nasza matka, i otrzyma nasze nazwisko – postanowiła Rose, ledwie zdążyła ją nakarmić, wykąpać i zawinąć we własną mantylkę.

– Wykluczone, Rose! Co ludzie na to powiedzą?

– To już zostaw mnie. Powiedzą, że jesteś święty, bo przygarnąłeś tę biedną sierotkę, Jeremy. Nie ma nic gorszego niż brak rodziny. Cóż ja bym poczęła bez takiego brata jak ty? – odparła świadoma przerażenia, jakie budził w nim najmniejszy choćby przejaw sentymentalizmu.

Plotek nie dało się uniknąć i Jeremy Sommers musiał je przełknąć z rezygnacją, jak również i to, że dziewczynka nosiła imię jego matki, przez pierwsze lata spała w pokoju jego siostry i wyrzuciła cały dom do góry nogami. Rose na lewo i prawo rozповідаła niewiarygodną historyjkę o wytwornym koszyczku pozostawionym przez anonimowe dłonie w biurze Brytyjskiej Kompanii Importowo-Eksportowej i faktycznie nikt w to nie uwierzył. Nie mogąc jednak niczego zarzucić Rose (ponieważ w każdą niedzielę, odkąd tu żyła, widziano ją, jak śpiewa podczas nabożeństw w obrządku anglikańskim, a jej wążiutka talia kpiała z praw anatomii), uznano, że niemowlę jest efektem jego stosunków z jakąś ulicznicą i dlatego wychowują ją jak córkę. Jeremy nie zadał sobie trudu, aby stawić czoło złośliwym pomówieniom. Dziecięca bezmyślność wytrącała go z równowagi, ale Elizie udało się go podbić. Chociaż się do tego nie przyznawał, lubił patrzeć, jak wieczorami bawi się u jego nóg, kiedy zasiadał w fotelu, żeby poczytać gazetę. Nie było między nimi oznak serdeczności; sztywniał, kiedy miał komuś bodaj uścisnąć rękę, a sama myśl o jakimś bardziej intymnym kontakcie budziła w nim lęk.

Kiedy owego 15 marca nowo narodzona pojawiła się w domu Sommersów, Mama Frezja, która od czasu do czasu pełniła obowiązki kucharki i klucznicy, stwierdziła, że powinni się małej pozbyć.

– Skoro własna matka ją opuściła, to znaczy, że jest przeklęta i lepiej jej nie ruszać – orzekła, ale wobec determinacji swej pani nic nie mogła zdziałać.

Ledwo Miss Rose uniosła ją w ramionach, dziecina wybuchnęła tak donośnym płaczem, że dom zatrzęsł się w posadach, a nerwy jego mieszkańców napięły się jak postronki. Nie mogąc jej uciszyć, Miss Rose w jednej z szuflad komody wymościła naprędcę kołyskę, w której ułożyła małą i okryła pledem, sama zaś pomknęła jak strzała na poszukiwanie mamki. Wkrótce potem wróciła z kobietą napotkaną na targu, jednakże nie pomyślała o tym, żeby się jej przyjrzeć z bliska; wystarczyło, że zobaczyła jej przeogromne piersi, które zdawały się wystrzelać spod bluzki, i pospiesznie ją najęła. Ta, jak się okazało, nieco niedorozwinięta wieśniaczka wkroczyła do domu wraz ze swoim dzieckiem, biedactwem równie niedomytym jak ona sama. Trzeba je było przez dłuższą chwilę moczyć w letniej wodzie, żeby oderwać brud, jaki przywarł do jego tyłeczka, kobietę zaś zanurzyć w kadzi pełnej wody z ługiem, żeby wytępić u niej pchły. Życie obojga niemowląt, Elizy i dziecka mamki, uchodziło z nich wśród ataków kolki i podbiegniętej żółcią biegunki, wobec których lekarz rodzinny i niemiecki aptekarz okazali się niekompetentni. Pokonana przez płacz dzieci, zawodzących nie tylko z głodu, ale i bólu albo smutku, Miss Rose płakała wraz z nimi. W końcu trzeciego dnia do akcji wkroczyła, acz niechętnie, Mama Frezja.

– Nie widzi pani, że ta kobieta ma przegniłe cycki? Do karmienia małej niech pani lepiej kupi kozę, a tymczasem niech jej pani da naparu z cynamonu, bo jak nie, to do piątku nie pociągnie – gderała pod nosem.

W tamtych czasach Miss Rose ledwo co mówiła po hiszpańsku, ale zrozumiała słowo „koza”, wysłała zatem natychmiast stangreta, żeby takową kupił, i zwolniła mamkę. Zaledwie sprowadzono zwierzę, Indianka podstawiła Elizę bezpośrednio pod nabrzmiąte wymiona; działo się to ku przerażeniu Miss Rose, która nigdy

przedtem nie oglądała tak haniebnej sceny, jednakże ciepłe mleko i napary z cynamonu prędko uratowały sytuację: dziewczynka przestała płakać, przespała ciurkiem siedem godzin i obudziła się, wciągając z zapamiętaniem powietrze. Po paru dniach zaczęła wyglądać jak normalne zdrowe dziecko i wyraźnie było widać, że przybiera na wadze. Kiedy Miss Rose zdała sobie sprawę, że ilekroć na patio zabeczwała koza, Eliza zaczynała kręcić się niespokojnie w poszukiwaniu sutka, kupiła butelkę ze smoczkiem. Nie życzyła sobie widzieć, jak dziewczynka wzrasta w błędnym przeświadczeniu, że zwierzę jest jej matką. Owe kolki okazały się jednymi z nielicznych niedomagań Elizy w okresie dzieciństwa, wszelkie inne zaś choroby – włączając w to straszną epidemię afrykańskiej odry przywlezionej do Valparaíso przez jakiegoś greckiego marynarza – dzięki ziołom i zakłębom Mamy Frezji zostały zduszone tuż po ukazaniu się pierwszych objawów. Póki istniało niebezpieczeństwo, Mama Frezja kładła nocami na pępku Elizy kawałek surowego mięsa i opasywała go mocno skrawkiem czerwonego wełnianego sukna, co było niezawodnym sekretem natury zdolnym zapobiec zarażeniu.

W następnych latach Miss Rose uczyniła Elizę swoją zabawką. Całymi godzinami uczyła ją śpiewać i tańczyć, recytowała wierszyki, których mała bez wysiłku uczyła się na pamięć, zaplatała jej włosy i stroiła w cudowne fatałaszki, jednakże wystarczyło, żeby pojawiła się jakaś inna atrakcja albo żeby rozboleła ją głowa, a natychmiast odsyłała Elizę do kuchni, do Mamy Frezji. Dziewczynka wychowywała się między pokoikiem do szycia i podwórkami na tyłach rezydencji, mówiąc po angielsku w jednej części domu i jakąś mieszaniną hiszpańskiego i mapuche (indiańskiego języka jej niani) w drugiej, jednego dnia wystrojona i obuta niczym księżniczka, drugiego zaś – dokazując z kurami i psami na bosaka, ledwo okryta zgrzebnym fartuchem. Miss Rose pokazywała ją na swoich wieczorkach muzycznych, zabierała powozem na gorącą czekoladę do najlepszej cukierni, na zakupy albo na molo, żeby popatrzeć na

przyplływające statki, ale równie dobrze mogło upłynąć wiele dni, podczas których w roztargnieniu zapełniała jakieś tajemnicze zeszyty albo czytała książkę, ani myśląc o swej podopiecznej. Kiedy wreszcie sobie o niej przypomiwała, biegła skruszona na jej poszukiwanie, obsypywała ją pocałunkami, przekarmiwała słodyczami i znowu stroiła jak lalkę, żeby wyjść z nią na spacer. Zatrzaszczyła się o to, aby dać jej jak najlepsze wykształcenie, nie zaniedbując przy tym także pewnych „ozdobników” odpowiednich dla edukacji dobrze wychowanej panienki. Kiedy na wieść o czekających ją lekcjach gry na fortepianie Eliza dostała ataku konwulsji, Miss Rose chwyciła ją za ramię i nie czekając, aż im postawią powóz, powlokła ją dwanaście przecznic w dół ulicy w stronę jakiegoś klasztoru. W murze z niewypalanej cegły, na grubej dębowej bramie pełnej żelaznych nitów można było odczytać litery wyblakłe od słonego wiatru: „Dom dla Porzuconych Sierot”.

– Podziękuj, że mój brat i ja zajęliśmy się tobą. Tutaj trafiają bękarty i porzucone dzieci. Tego chcesz?

Mała bez słowa pokręciła przecząco głową.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli się nauczysz grać na fortepianie jak grzeczna panienka. Zrozumiano?

Eliza nauczyła się grać, nie mając do tego ani talentu, ani warunków, jednakże siłą dyscypliny udało jej się osiągnąć to, że w wieku dwunastu lat mogła towarzyszyć Miss Rose podczas jej muzycznych wieczorków.

Pomimo długich okresów, kiedy nie ćwiczyła, nie straciła tej umiejętności i wiele lat później mogła dzięki niej zarobić na swe utrzymanie w pewnym objazdowym burdelu, co nigdy by nie przyszło do głowy Miss Rose, kiedy z takim uporem wprowadzała ją w tajniki wysublimowanej sztuki muzycznej.

Po latach, kiedy w pewien spokojny wieczór rozmawiała ze swym przyjacielem Tao Chi’eniem w zacisznym ogrodzie, który oboje uprawiali, i popijała chińską herbatę, doszła do wniosku, że

owa wiecznie zmienna w nastrojach Angielka okazała się bardzo dobrą matką, i Eliza była wdzięczna za ogromne przestrzenie wewnętrznej swobody, jakie jej zostawiała. Drugi filar dzieciństwa stanowiła Mama Frezja. Dziewczynka czepiała się jej sutych czarnych spódnic, towarzyszyła podczas zajęć i przy okazji doprowadzała do szału pytaniami. W ten sposób poznała indiańskie mity i legendy, dowiedziała się, jak odczytywać ślady pozostawiane przez morze i zwierzęta, odgadywać zwyczaje duchów i przesłania, jakie niosą sny, a także nauczyła się gotować.

Dzięki swemu nieomylnemu węchowi z zamkniętymi oczami potrafiła rozróżniać składniki, zioła i przyprawy i tak jak to robiła z wierszykami, zapamiętywała, jak je stosować. W niedługim czasie skomplikowane kreolskie dania Mamy Frezji i delikatne wypieki Miss Rose przestały być dla niej tajemnicą. Posiadała rzadkie zamiłowanie do zajęć kuchennych; w wieku siedmiu lat umiała bez obrzydzenia ściągnąć skórę z wołowego ozora albo wypatroszyć kurę, bez najmniejszego problemu zagniała ciasto na dwadzieścia *empanadas* i spędzała długie godziny na łusaniu fasoli, a jednocześnie z otwartymi ustami chłonoła okrutne legendy indiańskie Mamy Frezji i ubarwione przez nią wersje żywotów świętych.

Rose i jej brat John od dzieciństwa byli nierozłączni. W zimowe wieczory ona robiła na drutach kamizelki i skarpetki dla kapitana, on zaś starał się jej odpłacić, przywożąc z każdej podróży kufry pełne prezentów i wielkie paki książek; wiele z nich trafiało do zamkniętej na klucz szafy Rose. Jeremy, jako pan domu i głowa rodziny, miał prawo otwierać korespondencję siostry, czytać jej prywatny dziennik i domagać się kopii kluczy od jej mebli, ale nigdy się do tego nie posunął. W stosunkach między Jeremym i Rose dominowała powaga, niewiele ich łączyło poza wzajemnym uzależnieniem, które chwilami wydawało się przyjmować ukrytą formę nienawiści. Jeremy zaspokajał potrzeby Rose, jednakże nie finansował jej kaprysów ani nie pytał, skąd brała na nie pieniądze, zakładając, że

dostawała je od Johna. W zamian za to ona z powodzeniem i w dobrym stylu prowadziła dom, mając zawsze porządek w rachunkach, ale nie zwracając mu głowy szczegółami. Miała dobry gust i niewymuszony wdzięk i dodawała blasku egzystencji ich obojga, wreszcie swoją obecnością zadawała kłam bardzo rozpowszechnionej w tamtych stronach opinii, że mężczyzna bez rodziny jest potencjalnym okrutnikiem.

– Natura samca jest dzika; przeznaczeniem kobiety jest ochrona wartości moralnych i dobrego wychowania – utrzymywał Jeremy Sommers.

– Oj, braciszku! Już ty i ja dobrze wiemy, że moja natura jest bardziej dzika od twojej – podkpiwała Rose.

Jacob Todd, charyzmatyczny rudzielec obdarzony najpiękniejszym głosem kaznodziei, jaki kiedykolwiek słyszano w tych stronach, wysiadł w Valparaíso w roku 1843 z bagażem zawierającym trzysta egzemplarzy Biblii w języku hiszpańskim. Jego przybycie nie zdziwiło nikogo: był jeszcze jednym z licznych misjonarzy głoszących wiarę protestancką, których wszędzie pełno. Jednakże jego podróż stanowiła wynik awanturniczej ciekawości, a nie religijnego zapału. Z przechwałką w głosie, typową dla mężczyzny czerpiącego z życia pełnymi garściami, którego ciało wchłonęło w dodatku za dużo piwa, przy stole do gry w swoim klubie w Londynie założył się, że potrafi sprzedawać Biblię w dowolnym zakątku ziemi. Przyjaciele zawiązali mu oczy, zakręcili globusem, a on dotknął palcem jakiejś kolonii Królestwa Hiszpanii zagubionej w dolnej części świata, gdzie żaden z jego wesołych kompanów nie podejrzewał nawet, że mogło istnieć jakieś życie. Prędko odkrył, że mapa była nieaktualna, kolonia zdążyła się uniezależnić dobre trzydzieści lat wcześniej i teraz, dumna, nazywała się Republiką Chile, krajem katolickim, do którego idee protestanckie nie miały wstępu, ale zakład to zakład, a on nie zamierzał się wycofywać. Był kawalerem, bez zobowiązań

uczuciowych ani zawodowych i niezwykłość takiej podróży natychmiast wydała mu się pociągająca. Przy założeniu, że rejs przez dwa oceany potrwałby trzy miesiące w jedną i drugie trzy w powrotną stronę, zanosilo się na dłuższą wyprawę. W otoczeniu wiwatujących przyjaciół, przepowiadających mu tragiczny koniec z rąk papistów owego nieznanego i barbarzyńskiego kraju, oraz dzięki poparciu finansowemu Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, które opłaciło mu książkę i bilet, wyruszył w długą drogę statkiem w kierunku portu Valparaíso. Zakład polegał na tym, aby sprzedać Biblię i przed upływem roku powrócić do kraju z podpisanym pokwitowaniem za każdy egzemplarz. W archiwum biblioteki natknął się na listy sławnych mężów, marynarzy i kupców, którzy zawitali do Chile i opisywali naród składający się z Metysów, liczący niewiele ponad milion dusz, oraz przedziwną geografę pełną imponujących gór, urwistych brzegów, żyznych dolin, starych puszczy i wiecznych lodów. Kraj ten, jak zapewniali ci, którzy zwiedzili go wcześniej, cieszył się sławą najbardziej nietolerancyjnego w kwestii religii na całym kontynencie amerykańskim. Mimo to pobożni misjonarze próbowali zaszczyć tam protestantyzm i nie mówiąc ani słowa po hiszpańsku czy też w języku Indian, dotarli na południe, gdzie stały łódź przechodził w łańcuszek wysp niczym rozsypany sznur koralu. Wielu z nich umarło z głodu, zimna albo, jak podejrzewano, zostało zjedzonych przez swoich własnych wiernych. W miastach nie wiodło im się lepiej. Poczucie gościnności, święte dla Chilijczyków, było silniejsze od nietolerancji religijnej i przez grzeczność pozwalano im głosić kazania, ale nie poświęcano im większej uwagi. Na prelekcje organizowane przez nielicznych pastorów chodziło się jak na przedstawienie, tym zabawniejsze, że uważano ich za heretyków. Żadna z tych rzeczy nie zdołała zniechęcić Jacoba Toda, jako że jechał nie jako misjonarz, ale jako sprzedawca Biblii.

W archiwum biblioteki odkrył, że od chwili zdobycia niepodległości w roku 1810 Chile otworzyło swe wrota dla imigrantów,

którzy całymi setkami przybywali i osiedlali się na owym długim i wąskim terytorium skąpanym od stóp do głów w Oceanie Spokojnym. Anglicy szybko dorobili się fortuny jako kupcy i armatorzy; wielu z nich sprowadziło swoje rodziny i już pozostało. W głębi kraju stworzyli niewielkie państewko, z własnymi obyczajami, wierzeniami, gazetami, klubami, szkołami i szpitalami, a zrobili to z zachowaniem tak dobrych manier, że nie dość, że nie wzbudzali żadnych podejrzeń, to jeszcze uznano ich za wzór cnót obywatelskich. Pragnąc kontrolować handel morski na Pacyfiku, swoją flotę rozlokowali w Valparaíso, które z biednej wioski bez przyszłości, jaką było na początku Republiki, w ciągu niespełna dwudziestu lat przekształciło się w ważny port, do którego zawijały żaglowce przybywające z Atlantyku przez przylądek Horn, a następnie parowce docierające przez Cieśninę Magellana.

Valparaíso, jakie ukazało się oczom zmęczonemu podróżnika, sprawiło mu niespodziankę. Ponad sto statków stało pod banderami krajów połowy świata. Góry o zaśnieżonych szczytach zdawały się tak blisko, że wyglądały, jakby wynurzały się bezpośrednio z morza barwy atramentu, z którego unosił się jakiś niebywały syreni aromat. Jacob Todd nigdy się nie dowiedział, że pod tą pozornie spokojną taflą wody drzemie całe miasto zatopionych hiszpańskich żaglowców i liczne szkielety patriotów z kamieniem uwiązany u stóp, posłanych na dno przez żołnierzy kapitana generalnego. Statek opuścił kotwicę w zatoce, pośród milionów mew, które były powietrze skrzydłami i skrzeczały przeraźliwie z głodu. Na falach kołysały się niezliczone łodzie, niektóre obładowane olbrzymimi, jeszcze żywymi węgorzami i łubinami, rzucającymi się rozpaczliwie w powietrze. Powiedziano mu, że Valparaíso jest handlowym imperium Pacyfiku, że w jego magazynach składowano metale, wełnę owczą i z alpaki, a także zboża i skóry przeznaczone na światowe rynki. Łodzie przetransportowały pasażerów i ładunek z żaglowca na ląd stały. Wsiadłszy na nabrzeżu pośród marynarzy, dokerów, pasażer-

rów, osłów i wózków, znalazł się w mieście ciasno otoczonym amfiteatrem wysmukłych gór, tak samo gęsto zaludnionym i brudnym jak wiele miast Europy cieszących się dobrą sławą. Wąskie uliczki między domami z niewypalanej cegły i drewna, które najmniejszy pożar w parę godzin mógł obrócić w popiół, wydały mu się jakąś architektoniczną bzdurą. Wóz ciągnięty przez dwa zmaltretowane konie zawiózł Todda oraz kufry i skrzynie stanowiące jego bagaż do Hotelu Angielskiego. Przejechał obok budynków wzniesionych wokół jakiegoś placu, kilku dosyć topornych kościołów i jednopiętrowych rezydencji otoczonych rozległymi ogrodami i sadami. Doliczył się jakichś stu kwartałów, ale prędko przekonał się, że się mylił, gdyż miasto było istnym labiryntem uliczek i przejść. W oddali dojrzał dzielnicę rybaków z domkami wystawionymi na wiatr wiejący od morza i sieciami rozpiętymi niczym ogromne pajęczyny, a jeszcze dalej żyzne pola obsadzone warzywami i drzewami owocowymi. Mijające go powozy – wolanty, dorożki i kolaski – były równie nowocześnie jak w Londynie, ale oprócz nich w samym sercu miasta widział także karawany jucznych mułów konwojowane przez obdarte dzieci i dwukołowe wozy ciągnięte przez woły. Na rogach ulic, między sforami bezpańskich psów i stadami zdezorientowanych kur, mnisi i zakonnice prosili o jałmużnę dla biednych. Dostrzegł kilka kobiet dźwigających torby i kosze, ciągnących za sobą dzieci – szły boso, za to na głowach nosiły czarne chusty – a także wielu mężczyzn w stożkowatych kapeluszach, którzy siedzieli na progach domów albo rozmawiali w grupach, nie robiąc nic poza tym.

Godzinę po zejściu ze statku Jacob Todd siedział w eleganckim salonie Hotelu Angielskiego, paląc czarne cygara importowane z Kairu i przeglądając jakiś angielski magazyn pełen nieaktualnych już wiadomości. Odetchnął z ulgą: najwidoczniej nie będzie miał problemów adaptacyjnych, a dobrze gospodarując swoimi dochodami będzie tu mógł żyć równie wygodnie jak w Londynie. Czekał, aż ktoś podejdzie, by go obsłużyć – wyglądało na to, że nikomu tutaj

się nie spieszy – kiedy zbliżył się John Sommers, kapitan żaglowca, którym odbył swoją podróż. Był to postawny mężczyzna o ciemnych włosach i cerze spalonej słońcem niczym skóra na buty, zdradzającej jego zamiłowanie do mocnych trunków, kobiet oraz gier w karty i kości, którym niezmordowanie się oddawał. Na statku zdążyli się dobrze poznać i zaprzyjaźnić i na grze spędzali całe noce, które podczas żeglugi po otwartym morzu zdawały się nie mieć końca, a także burzliwe i lodowate dnie, kiedy opływali przylądek Horn na południu świata. John Sommers nadchodził w towarzystwie jakiegoś bladego mężczyzny z dobrze przystrzyżoną brodą, ubranego na czarno od stóp do głów, którego przedstawił jako swojego brata Jeremy'ego. Trudno byłoby znaleźć dwa typy ludzkie bardziej do siebie niepodobne. Swobodny, hałaśliwy i miły John wyglądał jak żywy okaz zdrowia i tężyzny fizycznej, podczas gdy ten drugi sprawiał wrażenie upiora, który wpadł w szpony wiecznej zimy. To jedna z tych osób, które tak naprawdę nigdy nie są całkowicie obecne i które trudno zapamiętać, gdyż brak im wyraźnych konturów, podsumował go Jacob Todd. Nie czekając na zaproszenie, obaj przysiedli się do jego stolika z poufałością rodaków, którzy nieoczekiwanie spotkali się na obcej ziemi. W końcu pojawiła się jakaś kelnerka i kapitan John Sommers zamówił butelkę whisky, podczas gdy jego brat – żargonem wymyślonym przez Brytyjczyków w celu porozumiewania się ze służbą – poprosił o herbatę.

– Co słyhać w domu? – dopytywał się Jeremy. Mówił cicho, niemalże szeptem, ledwie rozchylając wargi, nieco afektowanym tonem.

– W Anglii od trzystu lat nic się nie dzieje – odrzekł kapitan.

– Zechce pan wybaczyć mi moją ciekawość, panie Todd, ale widziałem, jak wchodził pan do hotelu, i nie mogłem nie zauważyć pańskiego bagażu. Zdawało mi się, że było w nim wiele skrzyń oznakowanych jako biblie... Czyżbym się mylił? – zapytał Jeremy Sommers.

– Faktycznie, to biblie.

- Nikt nas nie uprzedził, że przysyłają nam nowego pastora...
- Płynęliśmy razem trzy miesiące i nie miałem pojęcia, że jest pan pastorem, panie Todd! – zawołał kapitan.
- W rzeczywistości nim nie jestem – odrzekł Jacob Todd, ukrywając zmieszanie za kłębami dymu swego cygara.
- A zatem jest pan misjonarzem. Jak sądzę, zamierza panjechać do Ziemi Ognistej. Patagońscy Indianie są gotowi poddać się ewangelizacji. O Araukanach proszę lepiej zapomnieć: już ich zagarnęli katolicy – skomentował Jeremy Sommers.
- Araukanów została może garstka. Ci ludzie mają dziwną manię: uwielbiają dawać się masakrować – zauważył jego brat.
- To najdziksi Indianie Ameryki, panie Todd. Większość z nich zginęła, walcząc z Hiszpanami. To kanibale.
- Odcinali po kawałku z żywych jeńców: woleli świeżą kolację – dodał kapitan. – To samo zrobilibyśmy pan i ja, gdyby ktoś zabił naszą rodzinę, spalił wioskę i zagrabił ziemię.
- Doskonale, John. Teraz bronisz kanibalizmu! – zareplikował jego brat z niesmakiem. – W każdym razie, panie Todd, muszę pana ostrzec, żeby pan nie zadzierał z katolikami. Nie powinniśmy prowokować miejscowych. To ludzie bardzo przesądni.
- Obce wierzenia to przesady, panie Todd. Nasze to religia. Indianie z Ziemi Ognistej, Patagonii, bardzo się różnią od Araukanów.
- Są tak samo dzicy. Chodzą nago, a klimat jest tam okropny – stwierdził Jeremy.
- Niech pan zawiezie im swoją religię, panie Todd. Może chociaż nauczą się nosić gacie – zauważył kapitan.
- Todd nigdy nie słyszał o owych Indianach i ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął, to nauczać o czymś, w co sam nie wierzył, ale nie miał odwagi wyjaśniać, że jego podróż jest rezultatem zakładu przyjętego po pijanemu. Nie wdając się zbytnio w szczegóły, odpowiedział, że zamierza zorganizować wyprawę misyjną, ale na razie musi zdecydować, jak ją sfinansuje.

– Gdybym wiedział, że przybywa pan głosić wśród tych dobrych ludzi wiarę w jakiegoś Boga tyrana, wyrzuciłbym pana za burtę na środku Atlantyku, panie Todd.

Przerwała im kelnerka z whisky i herbatą. Była to młoda dziewczyna o ciele niczym dojrzały owoc, wciśnięta w czarną suknię, w nakrochmalonym czepku i fartuchu. Gdy pochylała się, trzymając tacę, pozostawiła w powietrzu niepokojący zapach gniecionych kwiatów i żelazka na węgiel. Przez ostatnie tygodnie Jacob Todd nie widywał kobiet, więc patrząc na nią, boleśnie odczuł swoją samotność. John Sommers odczekał, aż dziewczyna odejdzie.

– Proszę się mieć na baczności, panie Todd. Chilijki to kobiety fatalne – powiedział.

– Nie wyglądają mi na takie. Są niskie, szerokie w biodrach i mają nieprzyjemny głos – stwierdził Jeremy Sommers, sięgając po filiżankę z herbatą.

– Marynarze dezertują dla nich ze statków! – wykrzyknął kapitan.

– Przyznaję, nie jestem autorytetem, jeśli chodzi o kobiety. Nie mam na to czasu. Muszę zajmować się moimi interesami i naszą siostrą, zapomniałeś?

– Ani na chwilę, stale mi to wypominasz. Widzi pan, panie Todd, w naszej rodzinie ja jestem czarną owcą, postrzeleńcem. Gdyby nie mój poczciwy braciszek Jeremy...

– Ta dziewczyna wygląda na Hiszpankę – przerwał Todd, odprowadzając spojrzeniem kelnerkę, która w tym momencie obsługiwała inny stół. – Mieszkałem dwa miesiące w Madrycie i widziałem wiele takich jak ona.

– Tutaj wszyscy to Metysi, nawet w wyższych klasach. Nie przyznają się do tego oczywiście. Indiańską krew ukrywa się niczym zarazę. Nie winię ich, Indianie mają opinię brudasów, pijaków i nierobów. Rząd stara się poprawić rasę, sprowadzając imigrantów z Europy. Na południu rozda się ziemię osadnikom.

– A ich ulubiony sport to zabijanie Indian.

– Przesadzasz, John.

– Nie zawsze trzeba aż kuli w łeb, wystarczy ich rozpić. Ale zabijanie ich jest zabawniejsze, to jasne. W każdym razie my, Brytyjczycy, nie uczestniczymy w takich rozrywkach, panie Todd. Ziemia nas nie interesuje. Po cóż mielibyśmy uprawiać ziemniaki, skoro możemy zbić fortunę, nie zdejmując rękawiczek?

– Dla przedsiębiorczego człowieka nie brak tu okazji. W tym kraju jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Jeśli chce pan się wzbogacić, niech pan jedzie na północ. Jest tam srebro, miedź, saletra, guano...

– Guano?

– Ptasie gówno – wyjaśnił marynarz.

– Nie znam się na tym, panie Sommers.

– Pan Todd nie jest zainteresowany zbijaniem fortuny, Jeremy. Pańska sprawa to chrześcijaństwo, prawda?

– Kolonia protestancka jest liczna i zamożna, pomoże panu. Proszę przyjść jutro do mnie do domu. W środy moja siostra Rose organizuje wieczorki muzyczne i będzie to dobra okazja do nawiązania znajomości. Przyślę po pana powóz o piątej. Zabawi się pan – powiedział Jeremy Sommers, żegnając się.

Następnego dnia, odświeżony po dobrze przespanej nocy i długiej kąpeli, żeby się pozbyć zapachu soli, który przyłgnął mu do duszy, ale czując się jeszcze niepewnie na nogach po tak długim żeglowaniu, Jacob Todd wybrał się na spacer po porcie. Nie spiesząc się, przeszedł wzdłuż głównej ulicy, równoległej do morza i biegnącej tak blisko brzegu, że dosięgały go bryzgi fal, w jakiejś kawiarni wychylił kilka kieliszków, a w gospodzie na targu zjadł obiad. Kiedy wyjeżdżał, w Anglii panowała lodowata lutowa zima, a przepłynąwszy wieczną pustynię pełną wody i gwiazd, gdzie stracił rachubę nawet co do liczby swych dawnych miłostek, na półkulę południową dotarł z początkiem nowej bezlitosnej zimy. Przed wyjazdem

nie przyszło mu do głowy, żeby dowiedzieć się czegoś o klimacie. Wyobrażał sobie, że w Chile panuje upał i wilgoć, tak jak w Indiach, gdyż – jak sądził – tak wyglądały ubogie kraje, ale tutaj znalazł się na łasce lodowatego wiatru, który przenikał go do kości i wzbijał tumany piasku i śmieci. Wiele razy gubił się pośród splątanych uliczek, kręcił się, chodził w kółko, aby znowu znaleźć się w punkcie wyjścia. Wspinał się zaułkami umęczonymi przez niekończące się schody i ograniczonymi przez absurdalne domy zwisające znikąd, starając się dyskretnie nie zaglądać w okna i nie naruszać cudzej intymności. Natknął się na romantyczne place o wyglądzie europejskim, zwieńczone okrągłymi podwyższeniami, na których orkiestry wojskowe przygrywały zakochanym, i na skromne ogrody zdeptane przez osły. Na obrzeżach głównych ulic rosły okazałe drzewa odżywiane przez cuchnące wody spływające ze wzgórz otwartymi kanałami. W części handlowej obecność Brytyjczyków była tak namacalna, że niemal oddychało się powietrzem prosto z innych szerokości geograficznych. Wiele szyldów sklepowych spisano w języku angielskim, a przechodzący ziomkowie Todda ubrani byli jak w Londynie; mieli nawet takie same czarne parasole jak u grabarzy. Ledwie oddalił się od głównych ulic, gdy natknął się na obrazy nędzy, które odczuł niczym policzek; ujrzał niedożywionych i odrętwiałych ludzi, żołnierzy w wyświechtanych mundurach i żebraków u wrót świątyń. O dwunastej w południe kościelne dzwony unisono zerwały się do lotu i w jednej chwili ucichł zgiełk, przechodnie przystanęli, mężczyźni zdjęli kapelusze, nieliczne kobiety, jakie widział, uklęknęły i wszyscy uczynili znak krzyża. Scena trwała dokładnie tyle, co dwanaście uderzeń dzwonu, po czym natychmiast ruch na ulicy powrócił, jakby nic się nie stało.

ILE CZŁOWIEK JEST W STANIE
ZROBIĆ DLA MIŁOŚCI?
JAK WIELE MOŻE DLA NIEJ POŚWIĘCIĆ?

Chile, połowa XIX wieku. Przed drzwiami domu bogatej rodziny Sommersów zostaje znaleziona Eliza, niemowlę zawinięte w męską kamizelkę i włożone do skrzynki po marsylskim mydle. Zaskoczone tym rodzeństwo przygarnia dziecko i postanawia stworzyć dla niego spokojną przyszłość. Jednak życie Elizy nie będzie spokojne: wypełnią je niebezpieczne przygody, dramatyczne przeżycia i gwałtowne odmiany losu.

Kiedy dziewczyna zakocha się pierwszą – silną, niezważającą na nic – miłością w niewłaściwym mężczyźnie, a on ucieknie z kraju, postanowi wyruszyć za nim do Ameryki. Nowy Świat przeżywa gorączkę złota i najazd tych, których przywiódły marzenia. Eliza pozna ludzi prawych i zdeprawowanych, pomocnych i tych, którzy będą chcieli ją wykorzystać. Trafi do pierwszych kalifornijskich miast, o ile tak można nazwać skromne budy, burdele i więzienie. Zetknie się z zepsuciem, biedą i rozczarowaniem, a także z pełnymi ślepej nadziei poszukiwaczami fortuny.

Isabel Allende po raz kolejny udowadnia swoje mistrzostwo. Brawurowo łączy romans, powieść historyczno-obyczajową i łotrykowską. To wspaniała opowieść o mądrości kobiet i o dziewczynie, która postanowiła uciec ze złotej klatki, żeby odnaleźć swoje przeznaczenie.

Jeśli porwał cię *Dom duchów*, *Córka fortuny* pochłonie cię bez reszty.

**KUP
TERAZ!**

cena 44,90 zł

PIĘKNA KREWIDOT

BOOKLIPS.PL IIII

w sprzedaży także

